

# KURIER WARSZAWSKI

Lucjan Kydryński

**Jak miło są wspomnienia... • Marcel Marceau - jak za dawnych lat! • Czas - bohaterem sztuki we Współczesnym • Kobuszowski z Kwiatkowską (I królikiem Harveyem) • Wspaniały Michalikowski • Homar x 150, czyli spełnione proroctwo!**

Gdy człowiek dojdzie do pewnego wieku (a właśnie doszedłem), wszystko, co ogląda, wszystko, co przeżywa, wywołuje wspomnienia. Ostatecznie przecież „wszystko już było“, jak powiadają mędrcy. Zdarza się też, że te wspomnienia każą nam zastanowić się nad Czasem - tym panem natury, dla jednych nad wyraz łaskawym, dla innych, niestety, bezwzględny. Czas na pewno jest łaskaw dla Marcela Marceau, znakomitego francuskiego mima, który sztuce pantomimy przywrócił wysoką, lecz w naszym stuleciu nieco przyciął rangę i pozyskał dla niej nowych entuzjastów.

Pamiętam pierwsze polskie występy Marceau. Już wtedy był sławny, już wtedy objechał cały świat ze swym „Bipem“ - stworzonym przez niego nowoczesnym pierrotom wydanym na łup przeciwnościom współczesnego życia, już wtedy otaczał swego bohatera - raz tragicznego, raz groteskowego, a zawsze poetyckiego - fantastyczną rzeczywistością wyczarowaną przez niego w naszej wyobraźni.

Minęły od tego czasu niespełna trzydzieści cztery lata i oto Marceau znów przybył do Warszawy. Znów pokazał nam swego „Fabrykanta masek“ - dziś już pantomimę owianą legendą, przypomniał kilka

innych dawnych etud, przedstawił kilka nowych... Ma 71 lat, ale gdy staje sam na wielkiej scenie w odwiecznym białym trykocie, czas wydaje się nie istnieć, a w każdym razie nie mieć żadnego wpływu na jego życie i sztukę.

„Można być lirykiem zarówno w tragedii, jak w komedii - mówił niegdyś. - Gest musi mieć, podobnie jak oddychanie, swe wdechy i wydechy: bez nich uschnie jak roślina pozbawiona wody. A więc gest powinien nieustannie pulsować. Technicznie porusza i ożywia fale, które działają na nasze ośrodki nerwowe i pobudzają zmysły. Nawet postawa nieruchoma w przestrzeni musi wydobywać ten prąd, ten kontakt, który nazywamy wpływem magnetyzmu...“. I magnetyzm to chyba najważniejsze słowo na określenie sztuki Marcela Marceau. Dziesięć etud pokazanych przez Marceau-Bipa otwarło przed nami niezwykle świat wyobraźni; Bip jeszcze raz zachwycił nas i - miejmy nadzieję, że nie był to raz ostatni: na jesień zapowiedziano powrót Marceau na występy do Polski.

Czas... Czas jest bohaterem rzadko grywanej „Zimowej opowieści“ Szekspira, przypomnianej



„Zimowa opowieść“ Szekspira w Teatrze Współczesnym.

Fot. A. Piotrowski

przez Teatr Współczesny. To zresztą zabawny paradoks, że Szekspir w Warszawie już od lat grywany jest głównie przez Teatr POLSKI i Teatr WSPÓŁCZESNY. Polski może się, oczywiście, tłumaczyć, że gra stratfordczyka po polsku, ale czy Współczesny istotnie wystawia go współcześnie? Różnie z tym bywa; po ciekawie niegdyś zainscenizowanym „Śnie nocy letniej“, po brawurowym „Wieczorze trzech króli“, nadal zresztą utrzymującym się na afiszu, „Zimowa opowieść“ wzbudza mniejszy entuzjazm. Trochę w tym winy samego utworu - nie da się ukryć, że wyraźnie słabszego od tamtych arcydzieł, trochę winy reżysera - Macieja Englerta, a może nawet trochę - wybornych przecież! - aktorów.

„Zimowa opowieść“ rozgrywa się w bajecznym świecie, w którym morze obmywa brzeg królestwa Czech, w bajkowych konfliktach bajkowych postaci, w świecie pełnym nieprawdopodobieństw, w którym ożywają zmarli i odnajdują się zagubieni. Związanie tego jedną poetyką jest tym trudniejsze, że sztuka rozpadła się Szekspirowi na dwie bardzo różne części.

Wydaje się, że Englert tym razem nie miał

pomysłu na ogarnięcie tak powikłanej i nie miał nożyczek, by przyciął przydługą - zwłaszcza te, których komizm mocno trzął. Także bez przesadnej wiary w kroki przez siebie postacie grają świetni aktorzy: gniew Zapasiewicz, Zofia Kucówna, Małgorzata Pieńka, Bronisław Pawlik, Agnieszka Stachurska itd., itd. Sięgnąłem jednak do wspomnień, zdarzyło mi się wychodzić z „Zimowej opowieści“ w pełni usatysfakcjonowanym i dumnie, zazwyczaj bywało nawet gorzej - równo w niecodziennej inscenizacji Skupie sprzed dwudziestu lat, z kiepskim prze-

Drozdowskiego i kołomnym założeniem by matkę i córkę oraz syna grali ci samy reżyser, jak nawet w spektaklu w sławnym podpałku teatrze Nanterre, tak doskonały reżyser Luc Bondy nie zdążył ruszyć publiczności, wet mając do dyspozycji Michela Piccoli (Lionel) i Bulle Ogier (Hernani). Czyli - może jest coś, że z tą sztuką nie jest tak szalenie popularna i dlatego grywana rzadko? Może z tego narzekać na to, że tamto, powinniśmy w gruncie rzeczy zażądać, że Maciej Englert o niej pamiętał i że na scenie szansę znakomitemu nowemu przekładowi Stanisława Barańczaka

No, ale mamy karnawał i czas spraw lżejszych. Teatr Kwadrat, wyspecjalizowany w rozrywce, wysłał część swego zespołu Zoliborz, na scenę Komedii i wzmocnił go gościnnymi siłami, przypomniał zabawną Mary Chase „Mój przyjaciel Harvey“. Parę opowieści o facecie, który sądził - a w tym czasie wszystkim usiłował to wmówić - że rzyszy mu wszędzie jego najlepszy przyjaciel: biały królik, blisko dwumetrowej wysokości? Niegdyś tego faceta grał w Warszawie mierz Rudzki - nie byłem, niestety, na przedstawieniu, lecz pamiętam film czterdziestu laty z zabawnym Jamesem Stewartem. Sztuka niewiele się zestarzała, jej przesłanie jest bowiem nadal aktualne: potrzeba nam trochę nieco szaleństwa, nieco wyobraźni, trochę poezji - musimy to w sobie zachować, niechaj inni uznają nas za dziwaków.

„Mój przyjaciel Harvey“ w reżyserii Jerzego Sławińskiego (który powinien przyciąć „Mój przyjaciel Harveyowi“ to i owo, zwłaszcza w pierwszych chwilami nieco nużącym akcie) ozdobił stał paroma piosenkami Młynarskiego



# KURIER WARSZAWSKI

Lucjan Kydryński

**Jak miłe są wspomnienia... • Marcol Marceau - jak za dawnych lat! • Czas - bohaterem sztuki w Współczesnym • Kobuszewski z Kwiatkowską (i królikiem Harveyem) • Wspaniały Michnikowski • Hemar x 150, czyli spełnione proroctwo!**



„Zimowa opowieść” Szekspira w Teatrze Współczesnym.

Fot. A. Piotrowski

przez Teatr Współczesny. To zresztą zabawny paradoks, że Szekspir w Warszawie już od lat grywany jest głównie przez Teatr POLSKI i Teatr WSPÓŁCZESNY. Polski może się, oczywiście, tłumaczyć, że gra stratfordczyka po polsku, ale czy Współczesny istotnie wystawia go współcześnie? Różnie z tym bywa; po ciekawie niegdyś zainscenizowanym „Śnie nocy letniej”, po brawurowym „Wieczorze trzech króli”, nadal zresztą utrzymującym się na afiszu, „Zimowa opowieść” wzbudza mniejszy entuzjazm. Trochę w tym winy samego utworu - nie da się ukryć, że wyraźnie słabszego od tamtych arcydzieł, trochę winy reżysera - Macieja Englerta, a może nawet trochę - wybornych przeciwi! - aktorów.

„Zimowa opowieść” rozgrywa się w bajecznym świecie, w którym morze obmywa brzeg królestwa Czech, w bajkowych konfliktach bajkowych postaci, w świecie pełnym nieprawdopodobieństw, w którym ożywają zmarli i odnajdują się zagubieni. Związanie tego jedną poetyką jest tym trudniejsze, że sztuka rozpadła się Szekspirowi na dwie bardzo różne części.

Wydaje się, że Englert tym razem nie miał

pomysłu na ogarnięcie tak powikłanej sztuki i nie miał nożyczek, by przyciąć przydługie sceny - zwłaszcza te, których komizm mocno zwiertrał. Także bez przesadnej wiary w kreowane przez siebie postacie grają świetni aktorzy: Zbigniew Zapasiewicz, Zofia Kucówna, Marta Lipińska, Bronisław Pawlik, Agnieszka Suchora, itd., itd. Sięgnąłem jednak do wspomnień: czy zdarzyło mi się wychodzić z „Zimowej opowieści” w pełni usatysfakcjonowanym? Przeciwnie, zazwyczaj bywało nawet gorzej. Zarówno w niecodziennej inscenizacji Skuszanki sprzed dwudziestu lat, z kiepskim przekładem

Drozdowskiego i z karkołomnym założeniem, by matkę i córkę oraz ojca i syna grali ci sami aktorzy, jak nawet w spektaklu w sławnym podparyskim teatrze Nanterre, gdzie tak doskonały reżyser jak Luc Bondy nie zdołał poruszyć publiczności, nawet mając do dyspozycji Michela Piccoli (Leontes) i Bulle Ogier (Hermiona). Czyli - może jest w tym coś, że z tą sztuką mierzyć się jest tak szalenie trudno i dlatego grywa się ją rzadko? Może zamiast narzekać na to czy na tamto, powinniśmy być w gruncie rzeczy zadowoleni, że Maciej Englert o niej pamiętał i że dał na scenie szansę znakomitemu nowemu przekładowi Stanisława Barańczaka?

No, ale mamy karnawał i czas przejść do spraw lżejszych. Teatr Kwadrat, wyspecjalizowany w rozrywce, wysłał część swego zespołu na Żoliborz, na scenę Komedi i wzmocniwszy go gościnnymi siłami, przypomniał zabawną sztukę Mary Chase „Mój przyjaciel Harvey”. Pamiętacie tę opowieść o facecie, który sądził - a w każdym razie wszystkim usiłował to wmówić - że towarzyszy mu wszędzie jego najlepszy przyjaciel Harvey: biały królik, blisko dwumetrowej wysokości? Niegdyś tego faceta grał w Warszawie Kazimierz Rudzki - nie byłem, niestety, na jego przedstawieniu, lecz pamiętam film sprzed czterdziestu laty z zabawnym Jamesem Stewartem. Sztuka niewiele się zestarzała, jej przesłanie jest bowiem nadal aktualne: potrzeba nam w życiu nieco szaleństwa, nieco wyobraźni, nieco poezji - musimy to w sobie zachować, nawet jeśli inni uznają nas za dziwaków.

„Mój przyjaciel Harvey” w reżyserii Marcina Sławińskiego (który powinien przyciąć „Harveyowi” to i owo, zwłaszcza w pierwszym, chwilami nieco nużącym akcie) ozdobiony został paroma piosenkami Młynarskiego i Ma-

tuskiewiczza, i znakomicie zagrany. Zwłaszcza przez wspaniałą parę: Irenę Kwiatkowską i Jana Kobuszewskiego, który swego Elwoda nasłonecznił ciepłem i swoistą poetyką, lecz także przez Jana Kociniaka, Pawła Wawrzeckiego i Lucynę Malec. Niestety, nie zawsze równie dobrze radzili sobie pozostali aktorzy.

Wesoło i poetycznie było również w Ate-neum. Najpierw na rewelacyjnym recitalu Wiesława Michnikowskiego, który przez dwie godziny (z Młynarskim jako prowadzącym i Jerzym Derflem przy fortepianie) przypominał najlepsze piosenki i monologi swej estradowej kariery. Teksty Przybory, Załuckiego, Tyma mają w nim genialnego odtwórcę - Michnikowski to wielki aktor komediowy i estradowy, w niepojęty sposób nie dostrzegany przez film i nie zawsze w pełni wykorzystywany w teatrze. Dla niego powinno się pisać scenariusze, dla niego wystawiać sztuki... Dobrze, że przynajmniej ten recital, niejako podsumowujący jego dotychczasowe estradowe życie, został zarejestrowany przez telewizję, że utrwalono wielki talent Michnikowskiego!

A potem „Hemar”. Spektakl obmyślony i wyreżyserowany w Ate-neum przez Wojciecha Młynarskiego. Pisałem o nim w Kurierze już przed ośmiu laty, zaraz po premierze, prorokując, że przedstawienie ma - cytuję - „zapewnione komplety na widowni do... do kiedy Ate-neum zechce je grać”. Właśnie teraz na scenie Ate-neum zagrano go po raz 150 - odbyło się z tej okazji uroczyste przedstawienie i uroczysty bankiet, w którym udział wzięły także aktorki niegdyś występujące w „Hemarze”, lecz po jakimś czasie - tak jak to bywa na Broadwayu - musiały przejść do innych ról, innych teatrów: Krystyna Janda (uczestnicząca w premierze), Joanna Szczepkowska i Teresa Budzisz-Krzyżanowska, które przyszyły później (nie pamiętam już czy w tej, czy w odwrotnej kolejności), obecnie ustępując miejsca Grażynie Strachocie. Pozostali wykonawcy dotrwali do dziś: Ewa Wiśniewska i Dorota Nowakowska, Jacek Borkowski, Jerzy Kamas, Marian Kociniak, Marian Opania, Wiktor Zborowski, a i Młynarski - animator tego przedsięwzięcia.

Objechali już z tym „Hemarem” pół świata: Stany Zjednoczone, Kanadę, Anglię, Szwajcarię, nie mówiąc o wielu polskich miastach. I okazało się, że piosenki i wiersze Hemara nadal bawią, nadal wzruszają, zaś artyści - nic się nie zmieniają: kto był siwy, ten został siwy, kto nie był - nie osiwał, a panie nawet jakby odmłodziły. No i wiecznie młode pozostały piosenki, zwłaszcza ta jedna, wiecznie aktualna:

*Wspomnij mnie,  
Jeszcze tylko wspomnij mnie,  
Poprzez wszystkich czas i dal  
I tłum obcych lic.  
Wspomnij mnie,  
Może zdrzy serce twe,  
Może zdrzy w sercu zał -  
Więcej nie chcę nic.*

LUCJAN KYDRYŃSKI